

Marek Sołtysik

Poruszone zdjęcie Przybyszewskiego : (cz. 1)

Palestra 51/7-8(583-584), 169-174

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

PORUSZONE ZDJĘCIE PRZYBYSZEWSKIEGO (cz. 1)

„Uciekałem na łeb, na szyję...”

Berlin, Wöhlerstraße 14. Późnym popołudniem 9 czerwca 1896 r. oczom powracających do swego mieszkania Antoniego Przybyszewskiego, lakiernika i jego żony Marianny ukazał się widok budzący najgorsze przeczucia. Troje malutkich dzieci sublokatorki, Marty Foerder, zrodzonych ze związku ze Stanisławem Przybyszewskim, przyrodnim bratem Antoniego, z płaczem i w niepokoju kręciło się pod łazienką na końcu korytarza, usiłując sforsować zamknięte od wewnątrz drzwi. Rwetes, a potem płacz.

Wezwany lekarz stwierdził zgon młodej kobiety. Zaraz potem policja. Z treści raportu: samobójczyni osierociła czteroletniego Bolesia, niespełna dwuipółletnią Mieczysławę i szesnastomiesięczną Janinę (Janina urodziła się w półtora roku po ślubie swego naturalnego ojca z Dagny Juel, Mieczysława – w trzy miesiące po tymże ślubie).

Gospodarzy nie było w domu przez dwie godziny. To wystarczyło, żeby Marta Foerder zamknęła się w łazience, weszła do wanny i – już w wodzie po szyję, celowo pozbawiając się możliwości odwrotu – wypłała zawartość flaszeczki z ciemnego szkła. Flaszeczki, która bez trudu mieściła się w zaciśniętej dłoni i zawierała śmierć.

Kilkanaście dni wcześniej towarzysz życia Marty Foerder, dwudziestoosmioletni Stanisław Przybyszewski, Polak, ale piszący i publikujący głównie po niemiecku, wysoko ceniony w berlińskich kręgach literackich i artystycznych, po wymianie ostrych zdań z Martą, zabrał z Wöhlerstraße 14 osobiste rzeczy, powrócił do pokoju w pensjonacie (właścicielce, młodej wdowie, jak zwykle obiecując komorne już wkrótce, kiedy nadejdzie sława), po czym – „na łeb na szyję” – jak sam napisał na cztery dni przed samobójstwem Marty w liście do konsulowej Idy Auerbach,

przyszłej żony swego przyjaciela, poety Richarda Dehmła, opuścił Berlin i w ogóle Niemcy. Jakby przed czymś uciekał. Pojechał do Kopenhagi po... po żonę. Żona tego samego Stanisława Przybyszewskiego, Norweżka Dagny Juel, z bardzo dobrego domu, współcierpiała dzielnie z mężem po tym, jak został on (jak się okaże, nie po raz ostatni) oszukany przez wydawcę. Przybyszewscy, oczekujący dziecka – bez obrazów, fortepianu i mebli, zatrzymanych za zaległe komorne przez właściciela mieszkania – wylądowali w jakimś zimnym, bezdusznym wnętrzu na przedmieściach Berlina. On esteta, ona przyzwyczajona do luksusu... Wysłał Dagny do rodziny w Norwegii, żeby jej nie narażać.

Teraz za błyskawicznie pożyczone pieniądze jechał wcale nie po to, żeby się wreszcie porządnie nacieszyć złotowłosym synem Zenonem, który rozpoczął już dziesiąty miesiąc. Zenon wtedy nie widział ojca – Dagny pozostawiła go pod najlepszą opieką w Kongvinger, tam gdzie odbywała połów – u swych zacnych rodziców w ich otoczonej ogrodem willi, *nomen omen* „Rolighed” („Spokój”). Sama wybrała się z Krystianii (dziś Oslo) do Kopenhagi, gdzie w umówionym hotelu czekał już na nią mąż. Mało powiedziane – niewyraźny. Odsunęła się wizja wspólnego odpoczynku na wyspie Moen...

Wcześniej brat i bratowa Przybyszewskiego – w swoim mieszkaniu przyzwyczajeni wprawdzie do karczemnych scen w wykonaniu jednego z licznych gości „genialnego Polaka”, Przybyszewskiego, wielkiego dramaturga Augusta Strindberga – musieli wysłuchiwać gróźb, jakie Marta już od wiosny kierowała pod adresem ukochanego. – Popęnię samobójstwo! – wykrzykiwała często. Odzewu ze strony Stanisława nie było. On, człowiek słowa, nie próbował odwozić jej od tego zamiaru, swoim nietypowym milczeniem raczej umacniał postanowienie nieszczęśliwej kobiety. Chęć odebrania sobie życia była wynikiem poczucia braku oparcia ze strony partnera. A Marta była po raz czwarty w ciąży.

Płód, który nosiła w łonie, został poczęty tu, w pokoju przy Wöhlerstraße, gdy Przybyszewski – już po ślubie z Dagny Juel i po wysłaniu jej ciężarnej do Norwegii – kiedyś tu zamarudził i został na noc.

Policja nie dała zezwolenia na pogrzeb Marty Foerder, zarządzając sekcję zwłok i śledztwo.

Przybyszewscy berlińscy – porządni ludzie stanu rzemieślniczego – nie pochwalali nowego związku Stanisława, mieli mu za złe, że się ożenił nie z tą, z którą miał już dzieci, lecz z kobietą z pewnym, hm, doświadczeniem – uważaną za, mówiąc eufemicznie, mużę berlińskiej bohemy. To właśnie dla Przybyszewskiego ta Dagny (wiedzieli, córka porządnego lekarza, bliska krewna wpływowego norweskiego polityka) opuściła wielkiego malarza Edvarda Muncha. Dla Przybyszewskiego rozstała się ze Strindbergiem, który ten dramat (tym razem nie sceniczny, lecz *par excellence* osobisty) przyplacił wstrząsem psychicznym, zakończonym zamknięciem i długim mozolnym leczeniem w tzw. domu zdrowia.

Antoniostwo Przybyszewscy sami mieli trójkę dzieci. Marianna, bratowa pisarza, choć zabiegana przy gospodarstwie, współczując Marcie, często jej pomagała.

Dbiała nie tylko o własne pokoje, ale i o ten sublokatorski. Wyręczała Martę w domowych porządkach i właśnie podczas wycierania kurzu w dzień po definitywnym odejściu Stanisława Przybyszewskiego zauważyła stojący na zwieńczeniu szafy nowy przedmiot: flaszeczkę z ciemnego szkła...

Teraz, kiedy wyszło na jaw, że to było narzędzie śmierci i zważywszy na wiele okoliczności zdających się obciążać towarzysza życia denatki, za ledwie Przybyszewski z Dagny Juel przekroczył granicę niemiecką, już czekała na niego policja kryminalna. Funkcjonariusz wziął paszport do ręki i przeczytał z trudem: – Herr Prz-przski?! – Pozwolono przejść tylko Frau Dagny. Jej mąż tutaj musi na razie pozostać. – Dlaczego? – Jest podejrzany o spowodowanie samobójstwa. Na razie będzie uczestniczył w sekcji zwłok Marty Foerder.

On, ulubieniec salonów, pięknoduch, „der geniale Pole”, osadzony w areszcie śledczym na Moabicy, zrazu porządnie wystraszony – z dała od kobiet i od alkoholi – miał czas, żeby sobie przemyśleć i te ważne, i te z pozoru błahе momenty ostatnich lat. Z jedną z pięciu siostr Foerderówien zetknął się – to prawda – dopiero w Berlinie i stało się to z jej inicjatywy (niektórzy widzieli w tym także udział starszej pani Foerderowej). Pracował wówczas jako redaktor socjalistycznej „Gazety Robotniczej”, niekiedy sam własnymi tekstami musiał wypełniać cały numer, co musiało być niezłym prestidigitatorstwem, bo, jak twierdzili socjalni demokraci związani z Daszyńskim, o socjalizmie nie miał pojęcia.

Z chwalebnyim świadectwem węgrowskiego gimnazjum znalazł się w Berlinie jesienią 1889 r., ale jako student architektury, porwany filozofią Nietzschego, zdecydował się porzucić architekturę, a choć wiedział, że wskutek tej decyzji traci stypendium polskiego Towarzystwa Pomocy Naukowej, zapisał się na medycynę. „Nie jestem na architekta stworzony – zwierzał się w liście do inteligentnej szesnastolatki Pauliny Pajzderskiej – nienawidzę pałaców i kościołów, jako siedliska wszelkich zbrodni współczesnych – byłoby zbyt tragicznym, żebym je miał budować! (...) Chciałbym być lekarzem – doktorem obłąkanych”.

Jeszcze trochę cofniemy się w czasie. Z Wągrówca, wielkopolskiego miasta młodości Przybyszewskiego, udała się także do Berlina cała rodzina Foerderów, ściślej, matka, trzech synowie i pięć córek; śmierć pana domu, Józefa Foedera, kupca, przyspieszyła decyzję o sprzedaży domu, sklepu, reszty towaru i o wyjeździe na stałe do Niemiec. Co Berlin, to nie Wągrówiec. Foerderowie mieli w mieście nad Sprewą wielu krewnych, otwierało się okno na świat. Miało się otworzyć głównie dla córek, tych samych, które młody Przybyszewski w ich rodzinnym wielkopolskim domu w Rynku uczył gry na fortepianie. On, prymus gimnazjalny, ale syn pogrążonego w alkoholizmie, obciążonego dziedzicznie, ubogiego wiejskiego nauczyciela w pobliskim Łojewie, miał burzliwy romans z najstarszą córką zamożnych Foerderów, piękną Różą. Kiedy po perypetiach stosunek ten uległ zatarciu, Róża, w Berlinie już jako Rosa, brunetka o ognistym temperamentem (od której Foerder ojciec taktownie, acz stanowczo odsunął był Przybyszewskiego, golca i letkiewicza) z kim innym wprawdzie ułożyła sobie życie: lecz los to los; nie odpowiadał jej

burżuazyjny salon, wybrała naznaczonej niepewnością jutra związek ze świetnym rzeźbiarzem, potomkiem osadników bawarskich w Poznaniu, Wielkopolaninem w Berlinie, Franciszkiem Flaumem, uczniem Rodina. (Flaum, z którym nie przestały romansować damy z towarzystwa, miał specjalne właściwości: zawsze gorące dłonie, które przyłożone komuś do schorzałego miejsca, uśmierzały bóle. Dziś mógłby robić karierę jako radiesteta.) O, te szalone, chłonna życie Foerderówny... I to właśnie wcale nie on, Przybyszewski – w Berlinie zapracowany – lecz dziewiętnastoletnia siostra Róży *recte* Rosy, trochę ułonna, rudawa, jasnooka Marta, zainaugurowała znajomość. W imieninowy wieczór Stacha, 8 maja 1891 r., żeby się nie czuł samotny, przyszła, wystrojona, w pięknej czerwonej bluzce, rozjaśniając jego kawalerską kłitkę na Lindowerstraße. Ach, echa wspomnień z wczesnej młodości! I wino. Dobre wino przyniosła. Czy ta wizyta na jej, czy na jego nieszczęście? I czy Przybyszewski już wtedy był alkoholikiem?

O tym za chwilę. Ale nie należy zapominać, że Foerderowie, poprzez tych berlińskich krewnych i powinowatych, bogatszych i bywałych, umożliwili Przybyszewskiemu kontakt z jego niebawem protektorem, mecenasem literatury, doktorem Maxem Aschem, słynnym ginekologiem w Berlinie!

To doktor Asch miał tam niebywałe stosunki w kołach artystyczno-literackich. Toteż w sensie promocji jako literat bardzo dużo Przybyszewski zawdzięczał Foederom. Wprawdzie po latach wypytywany utrzymywał, że doktora Ascha poznał dzięki wstawiennictwu swoich znajomych z kręgu Seligsohnów rodem z Wągrówca, ale nie ma się co oszukiwać: Seligsohnowie i Foerderowie byli z sobą w kontaktach bliższych niż z Przybyszewskim. Jako krewni wspólnie podejmowali decyzje, czy i jak komuś pomóc. Młodzi Seligsohnowie *notabene* dużo wiedzieli o drugiej naturze ujmującego jeszcze wówczas na co dzień Stacha, przebywali bowiem często w winiarni „Zum Schwarzen Ferkel” („Pod Czarnym Prosiakiem”) w kręgu jego przyjaciół: Strindberga, Muncha, Dehmela, Franka Wedekinda, ot tak na wrywki, spośród bywających tam głównych przedstawicieli świata artystycznego Niemiec, Polski i Skandynawii. Przybyszewski grał utwory Chopina w sposób fascynujący, pod względem stylu wykonania nie miał sobie równego, improwizował do bladego świtu i przy fortepianie wyglądał jak prorok. Pił. Pił dużo. Inni pili także, ale kiedy wracali do swoich domów, byli odpowiedzialni, w przeciwieństwie do niego. Z jednej strony spotkawszy na pustej berlińskiej ulicy bezrobotnego Polaka, potrafił mu oddać wszystko co miał: pieniądze, zegarek, płaszcz, kamizelkę, z drugiej – nie potrafił uszanować najdelikatniejszych uczuć i ludzkich praw swoich partnerek. Które przecież darzył uczuciem miłości. Nałóg? Może jeszcze nie było za późno, żeby powiedzieć: stop?

Wprawdzie w parę lat później Stefan Żeromski, zwalniając miejsce bibliotekarza w zbiorach Muzeum Narodowego Polskiego w Raperswilu, bezskutecznie, jak się okazało, poparłszy kandydaturę Przybyszewskiego, zapewniał, że sumienny kolega nie jest alkoholikiem, bywa natomiast pijakiem. Ale gdyby kolegę zobaczył raz i drugi w akcji, może nie pozostawiłby czarno na białym następującej refleksji:

„Ma on trochę wad: pije, ale nie jest nałogowcem, a za to jest bardzo wykształcony człowiek i europejska sława”. Dodawał zdecydowanie – i to liczyło się w ocenie najbardziej: „ten człowiek nie może się zmarnować”.

Przybyszewski w dramacie „Dla szczęścia” przewidział dla Marty samobójstwo.

Czy pisał ten utwór właśnie po 25 marca, kiedy to – według niektórych źródeł – dowiedziawszy się od Marty o jej czwartej ciąży, wyprowadził się dosyć ostentacyjnie z mieszkania braterstwa? Znajomi pisarza (wśród nich krytyk literacki, z zawodu adwokat, Emil Breiter) w swoich wspomnieniach podkreślają, że w naturze Przybyszewskiego krył się ten rodzaj okrucieństwa, który kazał Marcie uznać jej własne pogrożki o samobójstwie za informacje o czynie, które niebawem popełni. Przybyszewski, „człowiek rzucający złe błyskawice odruchowego czynu, gestem pobudzający zbrodnię”, wymawiane przez Martę słowa: – Ja się otruję, ja już tak dalej, tak bez ciebie, nie mogę! – słyszane przez wszystkich w mieszkaniu, przyjął, by tak rzec, pozytywnie. Uznał je? Hm! Utrwalił i co jeszcze?

4 czerwca 1896, jak się rzekło, czymś spłoszony i z nikim się nie żegnając, napisał: „Wyjeżdżam na łeb, na szyję z Berlina. Musiałem się śpieszyć”.

Mogło się wydawać, że chce zapobiec czemuś złemu u żony i podąża do domu rodziców Dagny.

A jednak uciekał. Czy tylko przeczuwał wszystkimi fibrami zbliżającą się tragedię...?

Po aresztowaniu męża Dagny Juel wszczęła alarm i podjęła energiczne kroki w celu wyjaśnienia skandalu. Tak, już skandalu – bo cała, pozał się Boże, polska bohemka i w ogóle Polonia w Berlinie trąbiła o świeżej sensacji z powiewem kryminału.

Dagny dała pełnomocnictwo adwokatowi, doktorowi Fränklowi. Mecenas natychmiast poszedł do aresztowanego, żeby z nim porozmawiać. Sama w fatalnym nastroju, nie odwiedzała nawet zaprzyjaźnionego domu Dehmlów. Słusznie szukała pomocy u wpływowej konsulowej Idy Auerbach, ceniącej twórczość jej męża, poza tym wielbicielki Dehmla.

Do więzienia na Moabie panie Dagny i Ida posyłały panu Stachowi wiktuały, papierosy. Pani Idzie, przyjaciółce obojga, Dagny tłumaczyła, że powodem śledztwa wytoczonego przeciw mężowi jest śmierć znajomej zmarłej wskutek sztucznego poronienia, w czym Przybyszewski rzekomo miał pośredniczyć.

Może i to było również. Wielu świadków twierdziło, że na pewno. Czwarta ciąża Marty... Nawet najbliżsi autora „Synagogi szatana” nie kryli, że Przybyszewski w zamroczeniu alkoholowym nie tylko bywa, ale zawsze jest niepoczytalny. Pytania w śledztwie dotyczyły m.in. buteleczki z ciemnobrązowego szkła. Skąd tak silna trucizna wzięła się w mieszkaniu przy Wöhlerstraße?

Śledztwo zostało umorzone. Po dwu tygodniach zwolnili Przybyszewskiego z aresztu. Brat pisarza, Antoni, zerwał z nim stosunki, a dopiero na stare lata wyciągnął rękę do zgody. (Tuż przed śmiercią i on zrzucił zgon nieszczęsnej kobiety na karb przeznaczenia.)

Po epizodzie z prokuratorem Przybyszewski wstrząśnięty, wyprowadzony z rów-

nowagi, poczuł, że tak mocny dlań do niedawna berliński grunt z dnia na dzień zamienia się w grzęzawisko. Znajomi artyści zachowywali rezerwę; sprawa wyglądała brzydko, ale przecież to nie żaden z jego sławnych kolegów z winiarni „Pod Czarnym Prosiakiem” napisał następujące słowa:

„Zdarzyło się, że jednemu z najgłośniejszych kapłanów literackiej kaplicy umarła przyjaciółka, dobra, serdeczna dziewczyna, i to w sposób dość podejrzany, do którego wtrąciła się nawet policja śledcza. Kilka dni po jej zgonie obwieścił dekadent w gminie wyznawców swoich, że pragnąc usłyszeć szelest śmierci, skąpać się w mistycznej rozkoszy satanizmu i czuć trupie tchnienie własnej ofiary, spędził wraz z żoną swoją noc całą w mieszkaniu zmarłej. – Co za noc, co za noc! – powtarzał – oszaleć można. – Dwa dni później dowiedziano się o bliższych szczegółach tej szatańskiej uczt. Oto mieszkanie dekadenta było od Bóg wie ilu miesięcy nie zapłacone, gospodarz zarządził eksmisję, więc biedak, nie mogąc znaleźć na razie innego przytułku, upił się z rozpaczyci za cudze pieniądze, a potem półprzytomny udał się z konieczności do pustego mieszkania zmarłej przyjaciółki i tam przenocował, śpiąc twardo jak kamień”.

Pisał to człowiek nieobcy, rodak, co najmniej złośliwy Władysław Rabski, endecki publicysta, recenzent teatralny i dramaturg. W felietonie z cyklu *Listy z Krakowskiego Przedmieścia* („Kurier Warszawski”, 1901, nr 171) przemycił do kraju plotkę, o której rozpuszczenie pomawiano nawet samego Przybyszewskiego!

Prawda wyglądała inaczej. Bardziej strasznie, choć była pozbawiona scenarii thrillera klasy B, w jaki próbował ją wyposażać redaktor Rabski, jeszcze od czasów węgrowskiego gimnazjum antagonistą Przybyszewskiego. To był niestety dopiero początek tego, co sam Stach, mąż Dagny, niebawem okrzychnął *Meteor*em Młodej Polski, nazwie „tańcem miłości i śmierci”.